

Albin Siwak

Powrót do domu

Rocznik Mińsko-Mazowiecki 19, 410-415

2011

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Powrót do domu

Był 1918 rok, snuło się po polach babie lato i w powietrzu unosił się zapach pieczonych kartofli. Dzieci biegały po kartofliskach, gdzie jeszcze niedawno rosły ziemniaki -teraz już wykopane i zakopcowane - bo wciąż można było tu i ówdzie znaleźć kartofel, który otoczony ziemią w czasie wykopywania był niewidoczny, a teraz jesienne deszcze obmyły go z błota. Wiecznie głodne dzieci wyszukiwały te kartofle i piekły je w ogniskach ze zbieranych w lesie patyków i kartoflanej naci. (Dla tych ludzi w biednej mazowieckiej wsi to nie były zwykłe ogniska - smak i zapach pieczonych w tych ogniskach kartofli noszono w sobie całe życie jak zapach świeżo upieczonego chleba wiejskiego.) Tuż obok pasły się krowy, choć teraz jesienią nie zostało tu już wiele trawy. Ale gospodarzom żal było siana, którego przeważnie do wiosny nie starczało (przecież nierzadki to był widok, że gospodarz zrywał słomianą strzechę, żeby ją porznać na sieczkę i nakarmić na przedwiośniu dobytek). Dzieci, grzebiąc patykami w popiele, szukały ostatnich ziemniaków w ognisku. Były tym bardzo zajęte, więc nie zauważyły, że kilka metrów od nich, na nasypie kolejowym, na torze stał człowiek i płakał.

W czasach, gdy Polska była podzielona i rozebrana na części, ten teren należał do carskiej Rosji i to właśnie Rosjanie dla swoich potrzeb usypali ze żwiru i ziemi nasyp pod tor kolejowy. Zbudowali mosty i uruchomili szlak kolejowy z Mińska Mazowieckiego do Tłuszcza. Torowisko służyło przede wszystkim dla potrzeb wojska rosyjskiego, ale i ludność okoliczna miała z niego pożytek. Wybudowano kilka stacji kolejowych, które istnieją do dziś i - jak ją wtedy ludność okoliczna nazywała - „wodokatkę”. („wodokatka” to po prostu duża pompa tłocząca wodę z rzeczki Czarna na stację kolejową Pustelnik - do parowozów). Wtedy to była technika, którą podziwiano. Zanim uruchomiono pompę, zrobiono na Czarnej zaporę i spiętrzone wodę do półtora metra. Nie byle jaka to była zapora. Potężne pale dębowe wbijało babą czterech żołnierzy, piąty podawał komendy (baba to po prostu studwudziestokilogramowy pień z czterema poziomymi drążkami). Na komendę: „W górę” i na komendę: „Bij”. A żołnierze musieli być nie jakimiś słabeuszami, ale zdrowymi i silnymi chłopami! Dziś taką robotę robi kafar parowy lub elektryczny. Wtedy było to robione wyłącznie za pomocą siły ludzkich mięśni. Potężne bele dębowe na most też były ręcznie, toporami, obrabiane na kantówki. Obecnie produkuje się je w tartaku, ale wtedy przywożono cały wielki dąb w pobliże budującego się mostu. Najpierw trzeba go było „okorować”. Po zdjęciu kory naciągano wzdłuż sznur. Ten sznur był smarowany gównią nadpaloną w ogniu, tak żeby go dobrze uczernić. Sznur podnosił, czyli naciągał najlepszy cieśla, który jak mówiono „miał dobre oko” i wtedy sznur

odbijał na klocu linię, podług której odrąbywano boki aż do kwadratu...

Człowiek stojący na nasypie kolejowym i przyglądający się dzieciom przy ognisku, wdychając zapach dymu i kartofli przypomniał sobie budowę tego mostu kolejowego na rzeczce Czarna. Miał wtedy osiemnaście lat... Przychodził, gdy żołnierze rosyjscy - cieśle szykowali te potężne belki, bo spod ich toporów zostawało dużo dębowych, grubych kawałów drewna. (W tamtych czasach, jeśli jakiś chłop ukradł drewno na opał z pańskiego lasu, to nie tylko był bity publicznie, ale jeszcze musiał za skradzione drewno zapłacić. A tymczasem pozostawiane przez żołnierzy odpady dębowe mógł ten młody chłopak brać darmo). Każdego razu gdy przychodził po nie z mocną płachtą, żołnierze przestawali pracować i patrzyli ile to on sobie dziś nałoży. A on kładł tyle, żeby mógł rogi tej płachty ściągnąć i związać. Wtedy żołnierze rosyjscy podchodzili w dwóch lub trzech i próbowali ten ładunek podnieść. Ale nie mogli. A on, osiemnastolatek, podrzucał ten tobół do góry i na plecach niósł do domu. Żołnierze powiedzieli o tym fakcie swojemu oficerowi i ten czekał specjalnie, by zobaczyć to na własne oczy. Gdy chłopak zarzucił sobie płachtę na plecy i szedł z nią do domu, to ten oficer wolno na koniu jechał za nim. W momencie, gdy Antoni zrzucił na podwórku swój tobół, jego ojciec, Franciszek Siwak, przestraszył się, że za synem wjechał oficer i być może ukarze ich teraz za to drewno. Zaczął więc błagać oficera, żeby syna i jego nie karał. Ale oficer wcale nie miał zamiaru ich karać. Zsiadł z konia i wyjął 50 rubli.

- Masz - podał je chłopakowi. - Za twoją siłę ci daję. Kup sobie buty, bo boso chodzisz.

- Gratuluję ci syna - zwrócił się do ojca chłopaka, po czym odjechał.

Chłopak oczywiście to drewno nosił nadal. Ale okazało się, że oficer rosyjski napisał do kogo trzeba i gdy pewnego dnia był pobór do wojska, to dokładnie szukano wśród młodych mężczyzn Antoniego Siwaka. A pobór był nie taki, jak może dziś sobie wyobrażacie: otoczyli kozacy szczelnie całą wieś i wszystkich nadających się do wojska zagnano pod gminę. Następnie załadowano ich na podwozy, czyli furmanki i zawieziono do Mińska Mazowieckiego. Tu szybko wyłuskano spośród innych poborowych Antoniego i po paru dniach specjalnym transportem przewieziono go w głąb Rosji.

Takich wybranych jak on było 25 żołnierzy. Byli to Litwini, Łotysze, Ukraińcy i dwóch Polaków. Wszyscy odznaczali się nieprzeciętną siłą. Jechali wiele dni, aż dowieziono ich za Bajkał. Tam czekało ich kilka miesięcy szkolenia specjalistycznego, a następnie łapanie dzikich koni, przyprowadzanie ich do specjalnych stajni, pół roku uczenia każdego konia musztry i znaczenia dźwięku trąbki. Następnie dzikie konie były przydzielane wojsku (Według znawców były to najwytrzymalsze konie w długich jazdach, nie chorowały i jadły byle co). Nie będę pisał ile lat musiał ćwiczyć te dzikie konie, bo młodzi ludzie i tak nie uwierzą. Wystarczy, że napiszę, iż tego samego dnia Franciszkowi Siwakowi zabrano z domu trzech synów, w tym mojego ojca, który służył carowi i Rosji

dwadzieścia jeden lat... Jedyną nagrodą, jaką Antoni Siwak (mój stryj) otrzymał za bardzo długą służbę w carskim wojsku, to... koń. A i to sprawił przypadek. Któregoś dnia otrzymał Antek list od swego ojca, w którym ojciec pisał: „Nie wiem, jak będziemy dalej żyć. Koń nasz nazał się kłósów żyta w stodole, napił się z Czarnej wody i pękł.” Stryj czytał to, siedząc na ławce przed budynkiem koszar i nie zauważył jak obok przechodził oficer. A wtedy oddawanie honoru nie wyglądało tak jak dziś, że dwa palce do czapki i koniec. Wtedy recytowało się oficerowi jego szlachetne urodzenie, jego osiągnięcia i medale, a kary były ostre za nieoddanie honorów. Więc oficer zawrócił i spytał, co się stało. Przestraszony Antek trząsał się i prosił o łaskę.

- Pokaż, co ty czytasz – zażądał oficer.

Gdy przeczytał list to powiedział:

- Nie będziesz karany. Jesteś dobry, zdyscyplinowany żołnierz. A ojcu twojemu pomogę.

List zabrał.

Antek nie wierzył w to, że oficer pomoże - no bo i jak. „My tu za Bajkałem tysiące kilometrów a ojciec w warszawskiej guberni w Europie...”- myślał. Ale Litwin - ordynans oficera - powiedział mu, że oficer dotrzymał obietnicy:

- Kazał mi połączyć się telefonicznie z generałem dowodzącym kozakami, którzy stacjonowali w Mińsku Mazowieckim. No i jak po paru godzinach było to połączenie. to on się przedstawił, że jest dowódcą specjalnej jednostki powołanej przez cara. I że ty dla cara wyszkoliłeś wiele koni. Że jesteś bardzo zasłużony, a od wielu lat nie miałeś urlopu. Więc nie możesz się martwić brakiem konia u ojca, bo będziesz źle pracował. Więc on w imieniu jego carskiej mości prosi generała, żeby ojcu Antoniego dano konia za darmo.

No i stało się. Jednego dnia przyjechał kozak na koniu do wsi Goździówka, na sznurze prowadził drugiego konia i pytał o Franciszka Siwaka. Ludzie pokazali mu drogę i wjechał na podwórko.

- Ty jesteś Franciszek Siwak? - spytał

- Tak, ja.

- No to bieri łoszadz i podpiszi bumagu.

I tak mój dziadek, a ojciec Antka, dostał konia.

Wojskowy koń nie bardzo chciał pracować na roli, ale pomału go dziadek nauczył. W tamtych czasach w okolicy nie było żadnych sklepów. Żeby coś kupić, należało jechać na targ aż do Mińska. Więc babcia uciulała jajek, śmietany i sera. Pojechali z tym na targ, żeby sprzedać, a za pieniądze kupić naftę, sól i inne rzeczy. Wszystko szło dobrze do momentu, gdy już wyjeżdżali z miasta... Pod miastem kozacy przeprowadzali ćwiczenia z paroma sotniami. I kiedy trębacz zagrał sygnał na zbiórkę, to koń dziadka okazał się „niesterowny”- jakby to dziś określić. Lejce były bez znaczenia... Koń z wozem poszedł galopem po zagonach, a na wo-

zie oczywiście dziadek i babka. Pospadało wszystko cokolwiek mieli na wozie. A koń stanął równiutko w szeregu między innymi końmi, nie zwracając uwagi na wóz. Kozacy pękali ze śmiechu widząc swego konia z wozem i wystraszonymi ludźmi. Dopiero trębacz na rozkaz zagrał „rozejść się” i koń dał się już wtedy sterować. Od tej pory więcej do Mińska nim nie jeździli.

Teraz stał Antek na tym torze i płakał. Przeżył nie tylko wiele lat łapiąc i ucząc dzikie konie. Przeżył rewolucję i widział tysiące zabitych. Nie tylko żołnierzy, ale i cywilnych ludzi. Jak z tego morza nieszczęścia wyszedł żywy? Kto i dlaczego nad nim czuwał? Odchodząc do wojska, zostawił żonę w ciąży. Nigdy nie widział córki. A ona na pewno jest wśród tych dzieci przy ognisku. Tylko on nie wie, która to...

Na plecach miał na kijcu węzełek, w nim trochę chleba i słoniny. Długi szynel wojskowy okrywał go aż do ziemi. Wielka czapa zasłaniała głowę i część twarzy. Ale przecież te dzieci i tak go nie rozpoznają, bo przecież go nigdy nie widziały.

- Jest jednak ktoś, kto mnie dobrze zna i komu jestem winien podziękować, i to gorąco. - pomyślał.

Na początku wioski, tam gdzie rosyjscy żołnierze budowali most na rzece Czarna, stał duży krzyż, który zrobił i postawił jego ojciec. Tam teraz spieszył Antoni, jakby się bał, że za długo stał i przyglądał się dzieciom na kartoflisku. Gdy dotarł, zrzucił węzełek z kijem, uklęknął przed tym krzyżem i płacząc mówił: „Jezu! Dobry Jezu! Do ostatniej chwili swego życia będę Ci wdzięczny, żeś mnie chronił. Że pozwoliłeś mi wrócić pod ten sam krzyż, gdzie z matką i ojcem Ciebie prosiliśmy o łaskę. Czułem Twą opiekę, gdy obok mnie ginęli ludzie. Wyprowadziłeś mnie z piekła na świat mego dzieciństwa i młodości. Dzięki Ci za to.” Oparł się o niskie ogrodzenie krzyża i już nie mógł mówić, tylko płakał. On, taki twardy i silny człowiek, tu całkowicie się rozkleił. Nagle poczuł, że jakieś ręce podnoszą go z tych kłęczek.

- Antek - zapytał ktoś - czy to ty?

To ludzie z wioski przybiegli, gdyż tu prawie w każdym domu oczekiwano na powrót swego syna lub ojca. Teraz prowadzili go wszyscy aż pod próg jego domu. A w domu radość i smutek. Radość, bo wrócił. Smutek, bo żona prawie już nie wstawała z łóżka. Pieniądzy na lekarstwa nikt tu nie miał.

- Żona zmarła. Córka uważa mnie za obcego... - żalił się potem Antek. - A żyć trzeba.

A życie zaś nie stało w miejscu, więc Antek ostro wziął się do pracy na gospodarstwie (Wcześniej chora żona nie była w stanie sama podołać obowiązkom).

Pewnego dnia, w czasie żniw, gdy Antoni wracał z pola z kosą na ramieniu (brudny, w siermiężnych portkach i koszuli) zobaczył, że na ugorze ćwiczą ułani. Ich nieduży oddział (50 osób) stacjonował w czasie wakacji w szkole w Pu-

stelniku. Taki sam oddział stacjonował też w tym czasie w Stanisławowie, a w dawnych koszarach w Mińsku Mazowieckim przebywał teraz 7. Pułk Ułanów - ich macierzysta jednostka. Antek przystanął i z zainteresowaniem przyglądał się ćwiczeniom.

Dwóch ułanów trzymało drewniany drąg na wysokości pasa (czyli metra lub trochę powyżej). Kapitan puścił konia galopem i chciał przeskoczyć ten drąg. Koń jednak tuż przed drągiem gwałtownie się zatrzymał i tylko oficer przeleciał przez koński łeb na drugą stronę przeszkody. Wybuchła salwa śmiechu, która zaraz jednak umilkła pod groźnym spojrzeniem podnoszącego się z ziemi kapitana.

Oficer ponownie wskoczył na konia, zatoczył koło i skierował konia prostopadłe na drąg. I znów to samo. Koń wierzgnął przednimi nogami, a oficer poleciał jak piłka do przodu. Zdenerwowany wstał i podjął kolejną próbę, ale teraz już bodąc boleśnie ostrogami boki konia i bijąc go pejcem. Koń znowu stanął dęba przed przeszkodą i po raz kolejny aż oficer spadł. Kapitan kipiał wściekłością, a jego koń był tak zestresowany, że dygotał na całym ciele. Stryjek przywiązał swego konia do pobliskiego drzewa, odstawił kosę i podszedł do oficera. Grzecznie, ale stanowczo powiedział do kapitana: „Nie bij pan konia, to dobry koń. To nie jego wina, a pana, że koń tej śmiesznej dla niego przeszkody nie pokonał.” Tego już było za wiele dla oficera: po kilku upadkach na oczach podwładnych jeszcze jakiś chłop mówi mu, że to jego wina, a nie konia... - Jak śmiesz, chamie pouczać mnie, kto tu winien!

Zamachnął się i tym samym pejcem, którym wcześniej bił konia, chciał teraz uderzyć stryjka. Ale ten złapał za pejcz, wyrwał go i odrzucił na bok. Wtedy oficer wyjął z pochwy szablę i chciał płazem uderzyć Antka. Lecz Antoni wyrwał mu i szablę, a trzymając ją tak, żeby oficer nie mógł się zbliżyć, powiedział: „Przestań pan mi ubliżać od chamów.” Oficer jednak dalej krzychał:

- Jak śmiesz podnosić rękę na polskiego oficera! Ja ciebie zgnoję w kryminale! Na to stryjek spokojnie mu mówi:

- Pana ułani widzieli, że to pan na mnie rękę podniósł, a nie ja na pana. Bronić się mam prawo. Dobrze się stało, że nie urwałem panu ręki, bo mogłem...

- Co takiego? - krzychał oficer. - Rękę, mówisz, mogłeś mi wyrwać?!

- Tak, mogłem. Ja nawet konia położę na ziemię za uszy...

- Ja cię, chamie, zaraz sprawdzę! Bierz mojego konia i połóż.

- Nie, jego szkoda. Daj pan innego.

Kapitan kazał jednemu z ułanów dać swojego konia, a stryjek ujął go za uszy. Koń z bólu zakwiczał jak świnia i... położył się. Ułani zaczęli klaskać, a oficer - widząc, że ma przed sobą człowieka o niezwykłej sile, i że sympatia ułanów jest po stronie tego chłopca - spuścił z tonu. Stryjek poprosił więc oficera, by mu dał swego konia, a on pokaże co ten koń potrafi.

- Jak połamiesz nogi mojemu koniowi, to komornik cię zlicytuje - ostrzegł kapi-

tan, ale dał mu konia.

„Koń to niesłychanie inteligentne zwierzę.” - zawsze mawiał stryjek. Wtedy też wziął konia oficera i długo z nim chodził, mówiąc do niego i głaszcząc go po szyi. Aż koń zaczął radośnie parskać. Wtedy stryjek bez ostróg, na bosaka, w portkach z samodziału wskoczył na konia, odbijając się od ziemi.

- Ooo! - rozległ się wtedy zdumiony okrzyk ułanów.

- Jeśli koń nie chce skakać - wyjaśniał im stryjek - nie należy go prostopadle na przeszkodę puszczać, tylko trzeba to zrobić z ukosa. Koń musi mieć wolne lejce i czuć, że jeździec chce przeskoczyć.

Po czym zademonstrował oficerowi i ułanom, jak należy to zrobić.

- Po zrobieniu paru kółek - opowiadał później stryjek - krzyknąłem na tych ułanów, co trzymali drąg: „Drąg pod pachę!” Puściłem konia, kładę mu się prawie na szyję... Skoczył nie trącając kopytami drąga. „Drąg na ramiona!” - krzyknąłem ponownie. Ułani posłusznie położyli sobie drąg na ramionach. Kolejne koło zatoczyłem i puściłem konia wolno. Poszedł znów nie trącając drąga. A gdy zeskoczyłem z niego parskał potrząsając łbem. On się cieszył, koń, z tego skoku! Konia oddałem oficerowi i wróciłem do domu. Za miesiąc złożyli mi wizytę dwaj ułani z Mińska z propozycją pracy.

W ten sposób Antka zatrudniono jako instruktora jazdy, co na owe czasy było losem na loterii, bo płacili dobrze. Mógł zatem postawić na nogi podupadłe gospodarstwo. Ożenił się ponownie. Dochował się synów, z których jeden jest dziś pułkownikiem Wojska Polskiego. Drugi był inżynierem geodetą.

W tych samych koszarach służył w 7. Pułku Ułanów Lubelskich Stanisław Wróbel, bliski krewny Antoniego... Ale to już inna historia.